Nie spodziewałam się takiego powitania i zainteresowania swoją osobą

BASIU, WRÓĆ!

Rozmowa z BARBARĄ KRAFFTÓWNĄ

- Ma Pani w swoim dorobku wspaniałe role filmowe, teatralne oraz udział w niezwykłym zjawisku literackim, jakim był Kabaret Starszych Panów. Zdecydowała się Pani jednak wyjechać z Polski i zamieszkać w Ameryce. Dlaczego?

- Nigdy nie zamierzałam zostać w Ameryce na stałe. Otrzymałam propozycję zagrania tytułowej roli w "Matce" Witkacego w przedstawieniu amerykańskim, a więc po angielsku. Reżyser, Polak ze starszej emigracji, pan Leonidas Ossatyński wiedział, że nie znam języka. Przygotował mi więc kasetę z nagraną na taśmie rolą. Wszystko zależało od mojej decyzji, od tego, czy podejmę się syzyfowego trudu nauczenia się roli fonetycznie. Zawsze pociągały mnie eksperymenty, dlatego rolę przyjęłam.

Moja "wspinaczka" lingwistyczna trwała 8 miesięcy, a próby w Los Angeles 3 miesiące. Graliśmy przez miesiąc, co w Stanach jest już ogromnym sukcesem. Na ogół sztuki utrzymują się dwa tygodnie.

Rozpoczęłam potem podróż po Stanach.

Wyjazdy, jak wiemy, to przygody. Zapewniam, że było ich wiele! Największa, jaką przeżyłam, był mój ślub ze wspaniałym człowiekiem. Zobaczyłam go ze sceny, w trakcie koncertu w International Institute w San Francisco. Moje zdumienie było ogromne, gdy po występie, w trakcie przedstawiania siebie nawzajem, okazało się, że to Amerykanin. W dodatku dyrektor International Institute. Tak "założyłam rodzinę". I w krótkim czasie straciłam ją... W pół roku po ślubie mąż zmarł na zawał serca. Zostałam sama i musiałam sobie jakoś radzić.

Rozpoczęłam od solidnej nauki języka. Przez wszystkie te lata wieczory spędzałam w szkole. Mam grono wspaniałych przyjaciół, którzy cały czas mi pomagają, ale nic nie zastąpi rodziny.

Różne, włącznie z finansowymi, względy zadecydowały o tym, że dopiero teraz przyjechałam do Polski.

- Wyjazd z kraju nie oznaczał jednak dla Pani rezygnacji z pracy zawodowej. Profesor Michael Hackett z Uniwersytetu California w Los Angeles, który wyreżyserował gościnnie dwa przedstawienia w warszawskich teatrach Dramatycznym i Studio, chwalił się, że z Panią współpracował. Informacje, które docierały do nas zza oceanu wskazywały na to, że nie zrezygnowała pani z aktorstwa.

- Cieszę się, że wymienił pan nazwisko pana profesora Hacketta. Jest to bowiem człowiek, którego bardzo cenię. Gdy dowiedziałam się, że pracuje on w polskim teatrze, moja radość była ogromna. Z profesorem Hackettem spotkałam się podczas realizacji w jego reżyserii przedstawienia "Hippolitus" Seneki. Był to spektakl w wykonaniu studentów ostatniego roku wydziału aktorskiego w departamencie teatru na uniwersytecie w Los Angeles. Istnieje tam zwyczaj, że do spektaklu dyplomowego do głównych ról angażuje się zawodowych aktorów. To doświadczenie okazało się dla mnie nowe i niezwykłe: przedstawienie łączyło bowiem pantomimę, muzykę i sztukę dramatyczną. Zawsze lubiłam grać wykorzystując nie tylko słowo, ale i całe ciało. Sztuka szła przez dwa tygodnie, a to można uznać już za sukces.

Premiera ściągnęła młodzież z departamentu filmowego. Wówczas zgłosił się do mnie młody człowiek z ostatniego roku reżyserii i spytał, czy nie chciałabym zagrać w jego filmie dyplomowym pt. "Jak być Amerykanką". Zgodziłam się. Na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych film dostał wyróżnienie, a ja nagrodę dziennikarzy w postaci... pół miliona złotych.

- Czy spotkała się Pani z innymi polskimi aktorami, którzy po występach dla Polonii postanowili szukać szczęścia w Stanach?

- Na występy dla Polonii zawsze przyjeżdżały gwiazdy. Nie było więc powodu, dla którego miałyby w Ameryce zostać. Miejscowym aktorom nie jest łatwo, a co dopiero tym ze słowiańskim akcentem. W Los Angeles jest około 300 scen, a tylko jedną z nich prowadzi od lat ten sam człowiek. Aktorzy pracują w bardzo różnych zawodach, a dopiero wieczorem wychodzą na scenę. Rynek jest bardzo chwiejny. Spektakl może utrzymywać się na afiszu rok, miesiąc albo... cztery dni.

- Przyjechała Pani do Polski, aby zagrać w filmie Waldemara Dzikiego "Bank nie z tej ziemi". Jak udało się namówić panią do współpracy?

- Bardzo łatwo. Pan Waldemar odnalazł mnie w Los Angeles. Po czterech dniach dostałam scenariusz. Rejestruje on naszą rzeczywistość, ale w połączeniu z wątkami z zaświatów. Odnalazłam w materiale tekstowym kabaretowy styl. Bardzo ucieszyła mnie także adnotacja dołączona do scenariusza: reżyser prosił, żebym nie przyzwyczajała się do tekstu, bo nie wyklucza zmian. To zainteresowało mnie najbardziej.

Zamiarem twórców tego serialu jest ciągłe aktualizowanie materiału. Umożliwia to dużą różnorodność interpretacji aktorskiej. W filmie gram babcię Leokadię. W roli mojego męża-ducha występuje Krzysztof Wakuliński. Kontaktów metafizycznych więc nie zabraknie!

- Jak po latach pracuje się pani z polską ekipą?

- Wspaniale jest wrócić i spotkać się z kolegami. Już pierwszej nocy na planie spotkałam się z Jerzym Zelnikiem i Wojtkiem Pokorą. To przywołało dawne wspomnienia. Na szczęście, nie było to nasze ostatnie spotkanie przy pracy, czekają nas jeszcze wspólne zdjęcia. W filmie grają ponadto: Krzysztof Stroiński, Bronisław Wrocławski i młoda aktorka, Małgorzata Jędruszczak.

- Czy fakt, że rozpoczęła Pani pracę w filmie oznacza, że będziemy mogli oglądać Panią w Polsce częściej?

- Oczywiście tak. Dzięki TV nastąpi to szybciej niż przypuszczałam. Mój dzień zaczyna się teraz o piątej rano i trwa do drugiej w nocy. Nie spodziewałam się takiego powitania i zainteresowania moją osobą. Właśnie zakończyłam realizację programu dla telewizji. Spotkałam się w nim z moimi przyjaciółmi. Chciałam, żeby była to forma podziękowania wszystkim, którzy mówili mi tak, jak Wiesio Gołas: "Basiu, wróć". Nagrałam także program z cyklu "Wykład" z panami Lucjanem Kydryńskim i Jerzym Gruzą w Klubie Scena. Telefon dzwoni bez przerwy - a to znaczy, że reżyserzy o mnie nie zapomnieli i widzą mnie w nowych rolach.

- Czy ma Pani zamiar znowu nas opuścić?

- Nie nastąpi to tak szybko choć w Los Angeles mam nadal wiele nie zakończonych spraw. Gdy człowiek żyje gdzieś dłużej, to zapuszcza tam, mimo wszystko, korzenie i trudno je wyrwać. Można oczywiście odciąć się od przeszłości raz na zawsze, ale ja tego nie chcę. Zawsze coś lub ktoś gdzieś czeka. A może to moje dziwactwo...

- To nie świadczy o dziwactwie, lecz o dużej wrażliwości.

- Możliwe, jednak czasem bardzo to przeszkadza. Stąd tak liczne są w moim życiu okresy bezsilności i niezdecydowania.

Rozmawiał MACIEJ GAJEWSKI